

SIOSTRA SŁOŃCA

— SIEDEM SIÓSTR —



LUCINDA RILEY

ALBATROS

Tytuł oryginału:
THE SUN SISTER (BOOK 6 OF THE SEVEN SISTERS SERIES)

Copyright © Lucinda Riley 2019
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2020

Polish translation copyright © Anna Esden-Tempska 2020

Redakcja: Joanna Kumaszevska

Zdjęcia na okładce: Gambarini Gianandrea/Shutterstock.com,
Hannes Thirion/Shutterstock.com, Simon Dannhauer/Shutterstock.com,
Thammanoon Khamchalee/Shutterstock.com, kohoff/Shutterstock.com

Projekt graficzny okładki: Kasia Meszka

Wydawca

Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.
Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa
wydawnictwoalbatros.com

Facebook.com/WydawnictwoAlbatros | Instagram.com/wydawnictwoalbatros



1

– Nie pamiętam, gdzie byłam ani co robiłam, kiedy usłyszałam, że ojciec nie żyje.

– Dobrze. Chcesz o tym pomówić?

Patrzyłam na Theresę siedzącą w skórzanym fotelu z wysokim oparciem. Przypominała mi Susła z herbatki w *Alicji w Krainie Czarów* albo jednego z jego wkurzających przyjaciół. Często mrugała za swoimi okrągłymi okularami i wiecznie zaciskała usta. Spod tweedowej spódnicy sięgającej kolan widać było wspaniałe nogi. Miała też świetne włosy. Doszłam do wniosku, że nawet mogłaby być ładna, gdyby chciała, ale wiedziałam, że jej zależy tylko na tym, by sprawiać wrażenie inteligentnej.

– Elektro? Znów gdzieś mi odpływasz.

– Tak. Przepraszam.

– Myślałaś może o tym, co czułaś, kiedy dowiedziałaś się o śmierci ojca?

Nie mogłam wyjawić jej, o czym naprawdę myślałam, więc skwapliwie skinęłam głową.

– Tak.

– I?

– Nie potrafię sobie przypomnieć. Przykro mi.

– Wydaje się, że jego śmierć cię złości. Dlaczego?

– Nie, nie jestem zła... nie byłam. Właściwie nie pamiętam, naprawdę.

– Nie potrafisz przypomnieć sobie, co czułaś w tamtej chwili?

– Nie.

– No dobrze.

Patrzyłam, jak notuje coś w zeszycie, pewnie coś w stylu: *Nie chce zmierzyć się z faktem śmierci ojca*. To właśnie powiedział mi

poprzedni psychoterapeuta, a ja przecież mierzyłam się z tą stratą na całego. Po latach doświadczeń z magikami od grzebania w cudzym życiu wiedziałam jednak, że lubią znajdować przyczyny tego, dlaczego jestem taka pokręcona, a potem czepiają się ich jak rzep psiego ogona i drażą, dopóki się z nimi nie zgodzę i nie zacznę pleść głupot, byle tylko ich zadowolić.

– A co czujesz do Mitcha?

To, co cisnęło mi się na usta w związku z moim byłym, spowodowałyby pewnie, że Theresa sięgnęłaby po komórkę i ostrzegła gliny, że ma tu jakąś wariatkę, która chce odstrzelić jaja jednemu z najsłynniejszych muzyków rockowych na świecie. Ograniczyłam się więc do słodkiego uśmiechu.

– Wszystko w porządku. Przebolełam to jakoś.

– Ostatnim razem byłaś na niego zła.

– Tak. Ale było, minęło. Naprawdę.

– No, to bardzo dobra wiadomość. A co z piciem? Kontrolujesz je już trochę bardziej?

– Tak – skłamałam. – Oj, słuchaj, muszę bieć, mam spotkanie.

– Przecież jesteśmy dopiero w połowie sesji, Elektro...

– Wiem, szkoda, ale bywa, takie życie.

Wstałam i ruszyłam do drzwi.

– Może zdołam znaleźć dla ciebie okienko jeszcze w tym tygodniu? Wychodząc, spytaj Marcie.

– Dobrze, dzięki.

Szybko zamknęłam za sobą drzwi, minęłam recepcjonistkę Marcie i ruszyłam do windy. Pojawiła się niemal natychmiast i kiedy jechałam na dół, zamknęłam oczy i oparłam czoło o chłodne wyłożone marmurem wnętrze. Nie znosiłam ciasnych zamkniętych miejsc.

Jezu, pomyślałam, co ze mną? Jestem taka porąbana, że nawet terapeutce nie mogę powiedzieć prawdy!

Za bardzo wstyd ci, żeby to zrobić, dyskutowałam sama z sobą. A zresztą, jak byłaby w stanie to zrozumieć, nawet gdybyś jej powiedziała? Pewnie mieszka w eleganckim domu z elewacją z piaskowca, ma męża prawnika, dwójkę dzieci i lodówkę z zabawnymi magnesikami, którymi przyczepia ich rysunki. O, i jeszcze te słodkie do wyrzygu zdjęcia typu „mama i tata z pociechami, wszyscy w pasujących do siebie dżinsowych koszulkach”, dodałam w duchu, kiedy wsiadałam na tył czekającej na mnie limuzyny. Fotki rodzinne powiększone na maksa i powieszzone w ramach nad kanapą.

– Dokąd, proszę pani? – zapytał szofer.

– Do domu – warknęłam, złapałam butelkę wody i zamknęłam szczelnie minilodówkę, nim skusił mnie wybór alkoholi.

Potwornie bolała mnie głowa i nie pomagała żadna ilość tabletek. A minęła już piąta. Poprzedniego wieczoru jednak, o ile sobie przypominam, nieźle zabalowałam. Do Nowego Jorku przyjechał Maurice, mój nowy najlepszy przyjaciel projektant, i wpadł do mnie na parę drinków ze swoimi tutejszymi chłopakami, a ci zadzwonili po jeszcze kilku... Nie pamiętam, kiedy się położyłam. Po obudzeniu się rano z zaskoczeniem zobaczyłam obok siebie w łóżku obcego faceta. Ale przynajmniej był piękny i kiedy znów zapoznaliśmy się ze sobą nieco bliżej, spytałam, jak ma na imię. Fernando. Jeszcze parę miesięcy temu woził zamówienia z Walmartu w Philly, ale zauważył go ktoś z branży mody i poradził mu zgłosić się do jego przyjaciela w nowojorskiej agencji modeli. Fernando powiedział, że chętnie przeszedłby się ze mną jako asysta po czerwonym dywanie. Nie byłam naiwna, wiedziałam, o co mu chodzi. Zdjęcie ze mną mogło w jednej chwili wywindować takiego mistera Walmartu na szczyty. Pozbyłam się więc go najszybciej, jak to było możliwe.

I co by się znowu takiego stało, gdybyś powiedziała pani Suseł prawdę, Elektro? – rozmyślałam. Gdybyś przyznała, że poprzedniego wieczoru byłaś tak nawalona alkoholem i koką, że mogłabyś spać z samym Świętym Mikołajem i byś się nie zorientowała? I gdybyś wyjawiała jej, że nie możesz nawet pomyśleć o ojcu, nie dlatego, że umarł, ale dlatego, że wiesz, jak bardzo byłoby mu za ciebie wstyd... jak bardzo było mu wstyd...

Kiedy żył, nie mógł widzieć, co wyprawiam, ale odkąd umarł, stał się w pewien sposób wszechobecny – mógł być zeszłej nocy w mojej sypialni, a nawet może być teraz tutaj, w limuzynie...

Pękłam i sięgnęłam po buteleczkę wódki, po czym wlałam ją do gardła, starając się zapomnieć to rozczarowanie w twarzy ojca, kiedy go widziałam po raz ostatni. Odwiedził mnie w Nowym Jorku. Mówił, że ma mi coś do powiedzenia. Unikałam go aż do ostatniego wieczoru, który mógł wchodzić w rachubę. Niechętnie umówiłam się z nim na kolację. Zjawiłam się w Asiate, restauracji przy Central Parku, już nieźle narąbana wódką i dragami. Podczas posiłku siedziałam odrętwiała naprzeciw ojca, a kiedy tylko kierował rozmowę na niewygodne dla mnie tory, przeproszałam i prukałam do toalety, żeby wciągnąć trochę koki.

Przy deserze Pa Salt skrzyżował ręce na piersi i przyjrzał mi się

uważnie.

– Bardzo się o ciebie martwię, Elektro. Robisz wrażenie kompletnie nieobecnej.

– A ty nie rozumiesz, pod jaką presją żyję! – odcięłam się. – Ile to kosztuje być mną!

O zgrozo, tylko mgliście pamiętam, co działo się później, co powiedział, ale w końcu zerwałam się i wyszłam. I teraz nigdy już się nie dowiem, co takiego chciał mi przekazać...

– A co cię to obchodzi, Elektro? – zadałam sobie głośno pytanie, ocierając usta i wtykając pustą buteleczkę do kieszeni. Szofer był nowy, a mnie tylko tego było trzeba, żeby w jakiejś gazecie napisali, że wysuszyłam cały minibarek. – To nawet nie był twój prawdziwy ojciec.

Poza tym już nic na to nie mogłam poradzić. Pa Salt odszedł, tak jak wszyscy inni, których kochałam, i musiałam się z tym pogodzić. Nie potrzebowałam go, nie potrzebowałam nikogo...

– Jesteśmy na miejscu, proszę pani – odezwał się przez interkom szofer.

– Dzięki – rzuciłam, wyskoczyłam z limuzyny i zatrzasnęłam za sobą drzwi.

Starałam się nie zwracać na siebie uwagi. Inni celebryci mogą się gubić w tłumie, ale mnie, przy wzroście ponad metr osiemdziesiąt, trudno przeoczyć, nawet gdybym nie była sławna.

– Cześć, Elektro!

– Tommy! – Zmusiłam się do uśmiechu, wchodząc pod markizę przed wejściem do mojego budynku. – Jak się masz?

– Kiedy cię widzę, to zaraz lepiej. Miałaś przyjemny dzień?

– Tak, świetny, dziękuję. – Skinęłam głową i spojrzałam z góry, w sensie dosłownym, na swojego fana numer jeden. – Do zobaczenia jutro.

– Będę na pewno, Elektro. Wieczorem nigdzie się już nie wybierasz?

– Nie. Odsapnę spokojnie w domu. Do widzenia.

Pomachałam mu i weszłam do holu.

Przynajmniej on jeden mnie kocha, przyszło mi do głowy, gdy odbierałam pocztę od recepcjonistki, po czym ruszyłam do windy. Portier jechał ze mną, bo to była jego praca (zastanawiałam się, czy dać mu może do niesienia mój klucz, bo innego bagażu nie miałam), a ja myślałam o Tommym. Od kilku miesięcy niemal codziennie wchodził przed budynkiem. Najpierw przeraziło mnie to i kazałam w

repcji, żeby go pogonili. Tommy nie dał się przepędzić; oświadczył, że ma wszelkie prawo stać na chodniku, nikogo nie niepokoi, a jedyne, czego chce, to mnie chronić. Recepcjonistka namawiała mnie, żebym wezwała gliny i oskarżyła go o nękanie, ale pewnego ranka spytałam Tommy'ego, jak się nazywa, a potem wzięłam go pod lupę w internecie. Przez Facebooka dowiedziałam się, że to weteran wojenny, odznaczony za odwagę w Afganistanie. Miał żonę i córkę w Queens. Od tej pory już się go nie bałam, a raczej dzięki jego obecności czułam się bezpieczniej. Zawsze zachowywał się z szacunkiem, był uprzejmy, powiedziałam więc w recepcji, żeby dali mu spokój.

Portier wyszedł z windy i przepuścił mnie. Potem wykonaliśmy swego rodzaju taniec, by on znów znalazł się na przodzie, podprowadził mnie do mojego penthouse'u i otworzył mi drzwi swoim kluczem zbiorczym.

– Proszę, panno D'Aplièse. Życzę miłego dnia.

Skinął mi głowę. W jego oczach było zero ciepła. Wiedziałam, że pracownicy obsługi budynku nie mogą się doczekać, kiedy ulotnię się stąd nieistniejącym kominem niczym dym. Większość apartamentów należała do rodzin ich obecnych mieszkańców od pokoleń. Tu się urodzili w czasach, kiedy dla kolorowej kobiety, takiej jak ja, szczytem marzeń byłoby zostanie u nich służącą. Oni byli właścicielami mieszkań, ja – przybłądą, choć bogatą. Wynajmowałam penthouse, bo starsza pani, która dawniej w nim mieszkała, umarła, a jej syn odnowił go i próbował sprzedać za astronomiczną sumę. Na skutek czegoś zwanego załamaniem rynku kredytów hipotecznych najwyraźniej mu się nie udało. Wobec tego wynajął mieszkanie temu, kto chciał najwięcej zapłacić, czyli mnie. Cena była równie szalona jak ten penthouse. Pełen dzieł sztuki współczesnej i wszystkich gadżetów elektronicznych, jakie można sobie tylko wyobrazić (nie wiedziałam, jak korzystać z większości), a widok z tarasu na Central Park był fantastyczny.

Gdybym potrzebowała czegoś, co by mi przypominało o tym, jaki sukces odniosłam, to mieszkanie świetnie się do tego nadawało. Ale przede wszystkim przypomina mi jedno, myślałam, padając na wygodną kanapę, na której mogłoby swobodnie spać z dwóch facetów słusznego wzrostu. Jak strasznie jestem samotna. Rozmiary apartamentu sprawiały, że nawet ja czułam się malutka i krucha... i... na tym górnym piętrze... potwornie odizolowana od świata.

Z głębi domu odezwała się komórka, wygrywając melodyjkę,

która zrobiła z Mitcha gwiazdę światowego formatu. Próbowałam zmienić ten dzwonek, ale mi się nie udało. Jeśli CeCe ma dysleksję w pisaniu słów, to ja w elektronice, pomyślałam, wchodząc do sypialni po telefon. Z ulgą zauważyłam, że sprzątaczką zmieniła pościel na ogromnym łożu, i znów wyglądało tu jak w luksusowym hotelu. Lubiłam nową służącą, którą znalazła mi asystentka. Jak wszystkie inne przed nią, podpisała zobowiązanie, że nie będzie paplać mediom o którymkolwiek z moich paskudnych nawyków. Mimo to wolałam nie wyobrażać sobie, co ta... Lisbet? Tak ma na imię? Co mogła sobie pomyśleć, kiedy dziś rano weszła do mieszkania.

Siedząc na łożku, odsłuchiwałam pocztę głosową. Pięć wiadomości było od mojej agentki. Prosiła, żebym oddzwoniła do niej jak najszybciej w związku z jutrzejszymi zdjęciami dla „Vanity Fair”. Ostatnia nagrała się Amy, nowa asystentka. Była u mnie dopiero od trzech miesięcy, ale lubiłam ją.

„Cześć, Elektro, tu Amy. Chciałam... no, chciałam powiedzieć, że bardzo miło mi było dla ciebie pracować, ale nie sądzę, żeby sprawdziło się to na dłuższą metę. Dziś złożyłam wypowiedzenie na ręce twojej agentki. Życzę ci powodzenia i...”

– Cholera! – wrzasnęłam, wciskając USUŃ, i rzuciłam komórkę przed siebie. – Co ja jej takiego zrobiłam? – spytałam sufit, zastanawiając się, dlaczego takie nic, które na kolanach błagało, żebym dała jej szansę, rzuca mnie trzy miesiące później. – „Świat mody to moje marzenie, od kiedy byłam dzieckiem. Proszę. Będę dla pani pracować dzień i noc, pani życie będzie moim, przysięgam, nigdy pani nie zawiodę” – przedrzeźniałam jej jęczący brooklyński akcent, wybierając numer agentki. Były tylko trzy rzeczy, bez których nie mogłam się obejść: wódka, kokaina i asystentka. – Cześć, Susie, właśnie słyszałam, że Amy odchodzi.

– Tak, kiepska sprawa. A tak dobrze się zapowiadała. – Brytyjska wymowa Susie brzmiała trzeźwo i rzeczowo.

– Też miałam takie wrażenie. Wiesz, czemu odeszła?

Nastąpiła chwila ciszy, nim odpowiedziała:

– Nie. W każdym razie zawiadomię Rebekę i jestem pewna, że do końca tygodnia zorganizujemy ci kogoś nowego. Odebrałaś moje wiadomości?

– Tak.

– Nie spóźnij się jutro. Chcą fotografować o wschodzie słońca. O czwartej nad ranem przyjedzie po ciebie samochód, dobrze?

– Jasne.

– Słyszałam, że wczoraj wieczorem wyprawiłaś niezły bal.
– Fajnie było, tak.
– Ale dziś odpuść. Musisz być świeża na jutro. To zdjęcia na okładkę.

– Nie martw się. Położę się spać przed dziewiątą jak grzeczna dziewczynka.

– Dobrze. Przepraszam, mam Lagerfelda na drugiej linii. Rebecka da ci listę osób nadających się na asystentkę. Ciao.

– Ciao – powtórzyłam do słuchawki, kiedy Susie się rozłączyła.

Była jedyną osobą na świecie, która ośmielała się przerywać rozmowę przede mną. Najbardziej wpływową agentką modelek i modeli w Nowym Jorku prowadziła największe sławy w branży. Wypatrzyła mnie, kiedy miałam szesnaście lat. Pracowałam w Paryżu jako kelnerka, bo wywalili mnie z trzeciej już szkoły. Powiedziałam Pa Saltowi, że nie ma sensu szukać nowej, bo z niej też mnie wyrzucą. Ku mojemu zaskoczeniu, nie protestował.

Pamiętam, jaka byłam zdumiona, że nie złości się bardziej. Przecież poniosłam kolejną porażkę. Wydawał się raczej rozczarowany, co trochę podcięło mi skrzydła.

– Myślałam, że może mogłabym trochę popodróżować... – zasugerowałam. – Uczyć się przez praktyczne doświadczenia.

– Też jestem zdania, że większość wiedzy potrzebnej do odniesienia w życiu sukcesu niekoniecznie zdobywa się w drodze akademickiej edukacji – powiedział. – Ale jesteś taka zdolna, myślałem, że będziesz uczyć się nieco dłużej. Czy to dla ciebie nie za wcześnie, by stanąć na własnych nogach? Świat jest wielki i można się w nim pogubić.

– Dam sobie radę, Pa – oświadczyłam stanowczo.

– Jestem tego pewien, ale jak zamierzasz zdobyć pieniądze na swoje podróże?

– Pójdę do pracy, oczywiście. – Wzruszyłam ramionami. – Myślałam, że najpierw pojechałabym do Paryża.

– Świetny wybór. – Skinął głową. – Niezwykłe miasto.

Obserwowałam go siedzącego za wielkim biurkiem w jego gabinecie i wydał mi się rozmarzony i smutny. Tak, zdecydowanie smutny.

– Może pójdźmy na kompromis? – zaproponował. – Chcesz rzucić szkołę, co rozumiem, ale martwi mnie, że moja najmłodsza córka rusza w świat w tak młodym wieku. Marina ma jakieś kontakty w Paryżu, jestem pewien, że pomoże ci znaleźć bezpieczne

miejsce do mieszkania. Pojeżdż na wakacje, a potem się spotkamy i zdecydujemy, co dalej.

– Dobrze, umowa stoi – zgodziłam się, nadal zaskoczona, że nie walczy bardziej, żebyśmy skończyła szkołę.

Podniosłam się i wyszłam. Byłam przekonana, że umywa ręce albo całkiem już spisał mnie na straty. W każdym razie Marina uruchomiła swoje kontakty i wylądowałam na uroczej mansardzie z widokiem na dachy Montmartre’u. Pokój był malutki i musiałam dzielić łazienkę z całą bandą nastolatków przyjeżdżających do Paryża uczyć się języka, ale był mój.

Pamiętam ten pierwszy cudowny smak wolności, który poczułam, kiedy znalazłam się tam w wieczór mojego przyjazdu i zdałam sobie sprawę, że nie ma nikogo, kto by mi mówił, co mam robić. Nie było nikogo, kto by dla mnie gotował, więc poszłam do knajpki naprzeciwko, usiadłam przy stoliku na zewnątrz i przeglądając kartę dań, zapaliłam papierosa. Poprosiłam o francuską zupę cebulową i kieliszek wina, a kelner nawet nie mrugnął, że palę czy zamawiam alkohol. Po trzech kieliszkach wina nabrałam dość pewności siebie, by pójść do menedżera i spytać, czy przypadkiem nie szukają kelnerki. Po dwudziestu minutach wracałam te kilkaset metrów do swojego pokoju już jako osoba zatrudniona. To była dla mnie jedna z najwspanialszych chwil, kiedy następnego dnia rano dumnie dzwoniłam do Pa Salta z automatu telefonicznego, który wisiał w korytarzu. Muszę przyznać, że ojciec wydawał się równie ucieszony jak wtedy, gdy moja siostra Maja dostała się na Sorbonę.

Cztery tygodnie później podawałam Susie, mojej obecnej agentce, *croque monsieur*, a potem to już wiadomo...

Dlaczego ja stale patrzę wstecz? – zadawałam sobie pytanie, biorąc komórkę, by wysłuchać reszty wiadomości. I dlaczego bez przerwy myślę o Pa Salcie?

– Mitch... Pa Salt... – zamruczałam, czekając na kolejne informacje z poczty głosowej. – Nie ma ich, Elektro, tak jak i od dziś nie ma Amy, a ty musisz jakoś żyć z tym dalej.

„Elektro, najdroższa! Jak się masz? Znów jestem w Nowym Jorku... Co robisz wieczorem? Masz ochotę na wspólne wypicie butelki szampana i odrobinę *chow mein dans ton lit avec moi*? Usycham z tęsknoty za tobą. Oddzwoń, jak tylko będziesz mogła”.

Choć byłam zdołowana, musiałam się uśmiechnąć. Zed Eszu był wielką zagadką w moim życiu. Potwornie bogaty, ustosunkowany i – choć niezbyt wysoki i całkiem nie w moim typie – niesamo-

wity w łóżku. Spotykaliśmy się regularnie przez trzy lata. Potem, kiedy związałam się z Mitchem, to się urwało, ale wróciłam do tego kilka tygodni temu i niewątpliwie Zed dodał mi pewności siebie, której tak bardzo mi było trzeba.

Czy byliśmy w sobie zakochani? Zdecydowanie nie, w każdym razie z mojej strony na pewno nie była to miłość, ale obracaliśmy się w podobnych kręgach Nowego Jorku, a co najfajniejsze – kiedy byliśmy ze sobą sami, rozmawialiśmy po francusku. Podobnie jak na Mitchu, nie robiło na nim wrażenia, kim jestem, co w tych czasach było rzadkie i w pewien sposób przynosiło mi ulgę.

Gapiłam się na telefon, zastanawiając się, czy mam zignorować Zeda i zgodnie z poleceniem Susie wcześniej pójść spać, czy zadzwonić do niego i spędzić z nim miły wieczór. Wybór był prosty. Zadzwoniłam i powiedziałam, żeby wpadł. Kiedy na niego czekałam, wzięłam prysznic, a potem włożyłam ulubione jedwabne kimono, zaprojektowane specjalnie dla mnie przez nowe szybko zdobywające sobie markę japońskie atelier. Potem wypijałam chyba ze cztery litry wody, by zneutralizować alkohol czy inne okropne rzeczy, na które mogę się skusić, kiedy przyjdzie Zed.

Domofon piknął i powiadomiono mnie, że mój gość już jest. Kazałam im go przysłać na górę. Stał przed drzwiami z ogromnym bukietem moich ulubionych białych róż i obiecaną butelką szampana Cristal.

– *Bonsoir, ma belle Elektra* – powiedział swoim dziwnie akcentowanym francuskim, odłożył kwiaty i szampana, po czym pocałował mnie w oba policzki. – *Comment tu vas?*

– W porządku – rzuciłam, popatrując z ochotą na szampana. – Mam otworzyć?

– To chyba zadanie dla mnie. Mogę najpierw zdjąć marynarkę?

– Pewnie.

– Ale zanim to zrobię... – Sięgnął do kieszeni i podał mi aksamiotne pudełeczko. – Zobaczyłem coś takiego i pomyślałem o tobie.

– Dziękuję – powiedziałam.

Usiadłam na kanapie i podciągnęłam irytująco długie nogi pod siebie. Niczym podekscytowane dziecko patrzyłam na pudełeczko w swojej dłoni. Zed często kupował mi prezenty. O ironio, biorąc pod uwagę jego niezmierne bogactwo, nie były specjalnie wystrzałowe, ale zawsze dobrze przemyślane i interesujące. Uniosłam wieczko i zobaczyłam wciśnięty w poduszeczkę pierścionek. Kamyk był owalny, o maślanożółtej barwie.

– To bursztyn – powiedział Zed, obserwując, jak przyglądam się mu w świetle z żyrandola.

– Na który palec mam go włożyć? – spytałam, żeby się z nim trochę podroczyć, i podniosłam na niego wzrok.

– Jak wolisz, *ma chère*, ale gdybym chciał uczynić cię swoją żoną, chyba postarałbym się trochę bardziej. Na pewno wiesz, że twoja grecka imienniczka kojarzy się z bursztynem.

– Naprawdę? Nie, nie miałam pojęcia. – Patrzyłam, jak podwija korek szampana. – Czemu?

– Greckie słowo na bursztyn to *electron*, a legenda mówi, że w tym kamieniu zostały uwięzione promienie słońca. Pewien grecki filozof zauważył, że jeśli pociera się o siebie dwa kawałki bursztynu, z tarcia tworzy się energia... Nie mogłabyś mieć bardziej odpowiedniego imienia.

Z uśmiechem postawił przede mną kieliszek szampana.

– Twierdzisz, że powoduję tarcie? – spytałam, odpowiadając na jego uśmiech. – Pytanie, czy dorosłam do swojego imienia, czy też to ono we mnie wrosło? *Santé*.

– *Santé*.

Stuknęliśmy się kieliszkami. Usiadł obok mnie.

– Mmm...

– Zastanawiasz się, czy przyniosłem drugi prezent?

– No tak.

– To zajrzyj pod poduszeczkę w pudełku.

Zrobiłam to i oczywiście pod cienką warstwą aksamitu, na którym leżał pierścionek, był mały plastikowy pakiecik.

– Dziękuję, Zed. – Rozerwałam paczuszkę i zanurzyłam w nią palec, jak dziecko dobierające się do miodu, po czym wmasowałam sobie trochę w dziąsła.

– Dobre, co? – zapytał, kiedy wysypywałam odrobinę na stolik.

Korzystając z krótkiej słomki znajdującej się w paczusce, wciągałam proszek do nosa.

– Aha, bardzo. Chcesz trochę?

– Wiesz, że nie. Ale powiedz, jak się masz?

– O... dobrze.

– Jakoś nie zabrzmiało to pewnie, Elektro. I robisz wrażenie zmęczonej.

– Było dużo pracy – odparłam, łykając szampana. – W zeszłym tygodniu miałam sesję na Fidżi, a w przyszłym lecę do Paryża.

– Może powinnaś trochę zwolnić. Zrobić sobie przerwę.

– I to mówi facet, który twierdzi, że spędza więcej nocy w swoim prywatnym odrzutowcu niż we własnym łóżku!

– To może oboje powinniśmy zwolnić. Dałabyś się skusić na tydzień na moim jachcie? Jest zacumowany przy wyspie Saint Lucia. Za kilka miesięcy każę go na lato odprowadzić na Morze Śródziemne.

– Chciałabym. – Westchnęłam ciężko. – Ale do czerwca kalendarz mam pełen.

– No to w czerwcu. Moglibyśmy pozełgować wokół greckich wysp.

– Może... – Wzruszyłam ramionami, nie biorąc poważnie jego propozycji.

Często snuł jakieś plany, kiedy byliśmy razem, ale nigdy nic z tego nie wychodziło, a co więcej, wcale tego nie chciałam. Zed był świetny na jedną noc, fizyczne spełnienie, lecz na dłuższą metę zaczynał mnie wkurzać swoją skrupulatnością i niewiarygodną wprost butą.

Domofon znów piknął. Zed wstał, by odebrać.

– Przyślijcie natychmiast, dziękuję – powiedział.

Dolał nam szampana.

– Dostaniemy chińszczyznę i zaręczam ci, że to będzie najlepsze chow mein, jakie w życiu jadłaś. – Uśmiechnął się. – A jak tam twoje siostry?

– Nie wiem. Ostatnio byłam zbyt zajęta, żeby do nich dzwonić. Ally urodziła dziecko, ma synka. Nazwała go Bear... słodkie imię. Pomyśleć, że mam się zobaczyć z nimi wszystkimi w czerwcu, w Atlantis. Popłyniemy łodzią Pa Salta na greckie wyspy, by złożyć na falach wieniec. Tam, gdzie jak sądzi Ally, odbył się jego pochówek. Twój ojciec został znaleziony na plaży niedaleko stamtąd, prawda?

– Tak, ale jak ty, nie chcę myśleć o śmierci ojca. To mnie dołuje – uciął ostro Zed. – Myślę tylko o przyszłości.

– No tak... Ale co za przypadek!

Odezwał się dzwonek i Zed poszedł otworzyć drzwi.

– Elektro, chodź – powiedział, niosąc dwa pudełka do kuchni.
– Pomóż mi z tym.

2

Następnego dnia po sesji wróciłam do domu, wzięłam gorący prysznic i wskoczyłam do łóżka z wódką. Czułam się kompletnie rozbita. Ci, którym się zdaje, że modelki tylko snują się w pięknych strojach i dostają za to mnóstwo pieniędzy, powinni przez jeden dzień spróbować być mną. O czwartej nad ranem start, sześć zmian fryzur, ubrań i makijażu w lodowatym magazynie na przedmieściach to nie bułka z masłem. Nigdy nie skarżyłam się publicznie – przecież nie harowałam w jakiejś fabryce w Chinach, a w dodatku zarabiałam krocie – ale w końcu każdy żyje swoim życiem i od czasu do czasu, nawet jeśli problem jest luksusowy, ma prawo się nad sobą poużalać, prawda?

Nareszcie trochę się rozgrzałam. Oparta na poduszkach, zaczęłam sprawdzać pocztę głosową. Rebeka, asystentka Susie, zostawiła cztery wiadomości. Przesłała mi CV kilku wybranych kandydatek na asystentki i prosiła, żebym jak najszybciej je przejrzała. Oglądałam oferty na laptopie, kiedy zadzwoniła komórka. Zobaczyłam, że to znów Rebeka.

– Właśnie je czytam – powiedziałam, zanim zdołała się odezwać.

– Świetnie, dziękuję. Ale dzwonię, bo jest jedna dziewczyna, która wydaje mi się idealna dla ciebie, tyle że zaproponowano jej już inną pracę i ma dać odpowiedź do jutra. Może wpadłaby do ciebie pod wieczór i pogadacie? Co ty na to?

– Dopiero co wróciłam z sesji dla „Vanity Fair” i...

– Naprawdę sądzę, że powinnaś ją poznać, Elektro. Ma świetne referencje. Była asystentką Bardina, a wiesz, jaki jest trudny. Słuchaj – ciągnęła pospiesznie – ona pracowała pod presją dla najbardziej wymagających osób w świecie mody. Mogę ją przysłać?

– No dobra... – Westchnęłam, poddając się, żeby nie okazać się „trudną”, za jaką mnie najwyraźniej uważała.

– Świetnie, powiem jej. Na pewno będzie zachwycona, jest twoją wielką fanką.

– Fajnie. W porządku. Niech zajrzy tu o szóstej.

Dokładnie o szóstej odezwał się domofon. Recepcjonistka poinformowała mnie, że mam gościa.

– Przyślij ją na górę – powiedziałam znużonym tonem.

Niespecjalnie cieszyła mnie perspektywa rozmowy kwalifikacyjnej – od kiedy Susie zasugerowała, że potrzebuję kogoś, kto pomógłby mi w organizacji mojego życia, miałam już do czynienia z wieloma młodymi kobietami, które pojawiały się pełne entuzjazmu, a parę tygodni później rzucały wszystko w diabły.

– Naprawdę jestem taka trudna? – spytałam swojego odbicia w lustrze, kiedy sprawdzałam, czy coś mi nie weszło między zęby. – Możliwe. Ale to nic nowego, co? – dodałam, dopijając wódkę i przyglądając włosy.

Stefano, mój fryzjer, pozaplatał je ostatnio ciasno w warkoczyki tuż przy skórze, by doczepić przedłużające je pasma. Zawsze bolała mnie od tego cała głowa.

Ustyszałam pukanie. Poszłam otworzyć, zastanawiając się, co na mnie czeka za drzwiami. Czegokolwiek się spodziewałam, to na pewno nie takiej drobniutkiej, szczupłej osóбки w brązowym kostiumie, którego niemodna spódnica sięgała dobrze poniżej kolan. Mój wzrok powędrował niżej. Panienska miała na nogach coś, co Marina nazwałaby „rozsądnymi” brązowymi półbutami. A najbardziej uderzające było to, że nosiła chustę ciasno owiniętą wokół głowy i szyi. Twarz miała śliczną: malutki nosek, wydatne kości policzkowe, pełne różowe usta i gładką oliwkową cerę.

– Dzień dobry. – Uśmiechnęła się do mnie, a jej przepastne brązowe oczy rozpromieniły się w uśmiechu. – Nazywam się Mariam Kazemi, bardzo miło mi panią poznać.

Zauroczył mnie tembr jej głosu. Gdyby był na sprzedaż, na pewno bym go kupiła, bo był głęboki i śpiewny; wypływał z jej ust łagodnie niczym płynny miód.

– Cześć, Mariam, wchodź.

– Dziękuję.

Podczas gdy ja dużymi krokami ruszyłam do kanapy, dziewczyna się nie spieszyła. Przystanąła, by spojrzeć na zygzaki i rozbryzgi farby na wiszących na ścianach płótnach, i po jej minie widziałam,

że ma o nich takie samo zdanie jak ja.

– Nie są moje. To wybór właściciela mieszkania. – Nie wiem, czemu uznałam, że powinnam to wyjaśnić. – Co mogę ci zaproponować? Wodę, kawę, herbatę, coś mocniejszego?

– O nie, nie piję. To znaczy piję, ale nie alkohol. Poproszę wodę, jeśli to nie jest zbyt wielki kłopot.

– Nie ma problemu – powiedziałam, zmieniałam kierunek i udałam się do kuchni. Właśnie wyciągałam z lodówki butelkę wody Evian, gdy Mariam pojawiła się obok mnie.

– Myślałam, że ma pani służących, by robili to za panią.

– Mam pokojówkę, ale zwykle jestem tu sama. Proszę.

Podaliśmy jej wodę, a ona podeszła do okna i wyjrzała.

– Bardzo wysoko pani mieszka.

– Tak, prawda – przyznałam, zdając sobie sprawę, że dziewczyna kompletnie zbiła mnie z pantafelku.

Emanowała spokojem niczym perfumami, jakby poznanie mnie wcale nie robiło na niej wrażenia, podobnie jak to ogromne mieszkanie, które zajmowałam. Zwykle kandydatki na asystentkę aż podskakiwały z radości i obiecywały mi Bóg wie co.

– Może usiądziemy? – zaproponowałam.

– Dziękuję.

– No więc – zaczęłam, kiedy usadowiliśmy się w salonie – słyszałam, że pracowałaś dla Bardina?

– Tak.

– Dlaczego odeszłaś?

– Dostałam propozycję pracy, która mogłaby mi bardziej odpowiadać.

– Nie dlatego, że był trudny?

– O nie. – Zachichotała. – Wcale nie był trudny, ale ostatnio wrócił na stałe do Paryża, a ja zostałam w Nowym Jorku. Nadal bardzo się przyjaźnimy.

– O, to pięknie. A czemu jesteś zainteresowana moją ofertą?

– Bo zawsze podziwiałam pani pracę.

Ho, ho, pomyślałam. Rzadko zdarza mi się słyszeć, że mój zawód to „praca”.

– Dzięki.

– Myślę, że to wielki dar umieć wcielić się w osobowość, która promuje jakiś produkt.

Obserwowałam, jak otwiera swoją prostą brązową torbę, która przypominała szkolną teczkę, i podaje mi swoje CV.

– Domyślałam się, że nie miała pani czasu rzucić na to okiem przed moim przyjściem.

– Rzeczywiście – przyznałam. Przebiegłam wzrokiem etapy jej życia, streszczone wyjątkowo krótko i rzeczowo. – Nie masz wyższego wykształcenia?

– Nie. Moja rodzina nie miała na to środków. A jeśli mam być zupełnie szczerą... – Jej mała, delikatna dłoń powędrowała do twarzy i potarła nos – może i coś by się znalazło, ale jest nas sześcioro i to nie byłoby w porządku wobec reszty, gdybym ja poszła na studia, a oni nie mogliby sobie na to pozwolić.

– Ja też jestem jedną z szóstki! I nie poszłam na uniwersytet.

– No to przynajmniej to jedno nas łączy.

– Jestem najmłodsza.

– A ja najstarsza. – Mariam uśmiechnęła się.

– Masz dwadzieścia sześć lat?

– Tak.

– To jesteśmy rówieśnicami – powiedziałam, z niewiadomych przyczyn zadowolona, że pod niektórymi względami jestem podobna do tej dziwnej istoty. – To co robiłaś po skończeniu szkoły?

– Pracowałam w kwaciarni w dzień, a wieczorami chodziłam na kursy z biznesu. Mogę przedstawić odpis dyplomu, jeśli sobie pani życzy. Jestem biegła w obsługiwaniu komputera, potrafię tworzyć arkusze kalkulacyjne, a piszę... No, nie jestem całkiem pewna, ile znaków na minutę, ale szybko.

– To nie jest główny wymóg, podobnie jak te arkusze kalkulacyjne. Sprawami finansowymi zajmuje się mój księgowy.

– No tak, ale Excel może być bardzo przydatny organizacyjnie. Mogę układać dokładne grafiki planów na cały miesiąc, tak żeby w każdej chwili miała pani w nie wgląd.

– Gdybyś to zrobiła, pewnie bym uciekła gdzie pieprz rośnie – zażartowałam. – Funkcjonuję z dnia na dzień. Tylko tak jestem to w stanie wytrzymać.

– Doskonale rozumiem, ale moim zadaniem jest organizowanie wszystkiego z wyprzedzeniem. Dla Bardina miałam zaplanowane nawet oddawanie jego rzeczy do pralni. Ustalaliśmy, w co się ubierze na różne okazje, nawet kolor skarpetek, które często celowo miały być nie od pary. – Mariam zaśmiała się cicho, a ja z nią.

– I mówisz, że on jest sympatyczny?

– Tak, bardzo.

Czy była to prawda, czy nie, dziewczyna zachowywała się lojal-

nie. Tyle razy zdarzało się, że kandydatki na asystentki opowiadały mi najgorsze rzeczy o swoich byłych pracodawcach. Pewnie sądziły, że to w porządku wyjaśnić w szczegółach, dlaczego odeszły, ale ja tylko wyobrażałam sobie, co też będą wygadywać o mnie, kiedy się rozstaniemy.

– Nim pani spyta, jestem bardzo dyskretna... – Najwyraźniej czytała mi w myślach. – Często przekonywałam się, że historie krążące na temat naszych celebrytów nie mają nic wspólnego z prawdą. Ciekawe, że...

– Co?

– Nie, nic.

– Proszę, powiedz.

– To fascynujące, że tak wielu z nas marzy o sławie. Z doświadczenia wiem, że przynosi ona często jedynie nieszczęście. Ludzie myślą, że sława da im prawo do robienia i zdobywania wszystkiego, co im się tylko zamarzy, tymczasem tracą najcenniejsze, co mamy... swoją wolność.

Popatrzyłam na nią zaskoczona. Miałam wrażenie, że choć tyle osiągnęłam, jest jej mnie żal. Nie żeby patrzyła na mnie z góry, po prostu serdecznie mi współczuła.

– No tak, straciłam swoją wolność. Mam paranoję, że ktoś podpatrzy, jak robię coś najzwyczajszego w świecie, i zrobi z tego historię, która się dobrze sprzeda – wyznałam tej kompletnie obcej mi dziewczynie.

– Nie jest łatwo tak żyć, panno D’Aplièse. – Mariam pokręciła z powagą głową. – A teraz, niestety, muszę już iść. Obiecałam mamie, że popilnuję braciszka, kiedy rodzice wyjdą.

– Jasne. A ta opieka nad rodzeństwem... Czy to coś, co robisz na stałe?

– O nie, skąd! Ale właśnie dlatego dziś nie mogę ich zawieść. Wie pani, to urodziny mamy, a w rodzinie żartujemy, że ostatni raz tata zaprosił ją na kolację, kiedy oświadczał się jej dwadzieścia osiem lat temu! Zdaję sobie sprawę, że jeśli pani mnie zatrudni, będę potrzebna dwadzieścia cztery godziny na dobę.

– I że często będą też podróże za granicę?

– Tak. Nie widzę w tym problemu. Nie mam chłopaka ani nic z tych rzeczy. A teraz, jeśli pani wybaczy... – Wstała. – Bardzo miło było panią poznać, nawet jeśli nie będzie nam dane razem pracować.

Patrzyłam, jak odwraca się i rusza do drzwi. Nawet w tym pa-

skudnym ubraniu miała naturalny wdzięk i to coś, co fotograficy nazywają „osobowością”. Choć rozmowa kwalifikacyjna nie trwała dłużej niż piętnaście minut i nie miałam okazji zadać jej wielu ważnych pytań, byłam na nią zdecydowana, naprawdę. Chciałam, by Mariam Kazemi i jej cudowny spokój stały się częścią mojego życia.

– Słuchaj, jeśli teraz zaproponuję ci tę pracę, czy zastanowisz się nad tym? To znaczy... – Poderwałam się z kanapy, żeby odprowadzić ją do drzwi. – Wiem, że masz inną ofertę i musisz do jutra dać odpowiedź.

Zatrzymała się na moment, a potem odwróciła do mnie twarzą i uśmiechnęła się.

– No pewnie, zastanowię się. Uważam, że jest pani uroczą osobą, o dobrym sercu.

– Kiedy możesz zacząć?

– Od przyszłego tygodnia, jeśli pani chce.

– To umowa stoi! – Wyciągnęłam do niej dłoń, a ona po chwili wahania uściśniła ją.

– Stoi! – powtórzyła po mnie. – Teraz naprawdę muszę już iść.

– Jasne.

Otworzyła drzwi, a ja podeszłam z nią do windy.

– Znasz już warunki, ale poproszę Reбекę o spisanie umowy i wysłanie ci jej rano.

– Byłabym wdzięczna – powiedziała, gdy rozsunęły się drzwi windy.

– A przy okazji, jakich perfum używasz? – spytałam. – Cudowny zapach.

– Tak naprawdę to olejek do ciała. Sama go robię. Do widzenia.

Drzwi windy się zamknęły i Mariam Kazemi znikła.

*

Wszystkie referencje Mariam potwierdzały słuszność mojego wyboru. Byli pracodawcy nie mogli się jej pochwalić. Więc w następny czwartek obie wsiadłyśmy do prywatnego odrzutowca na lotnisku Teterboro w New Jersey i wyleciałyśmy do Paryża. Jedyną zmianą w jej stroju w związku z naszą podróżą było to, że spódnicę zastąpiły beżowe spodnie. Patrzyłam, jak siada w kabinie i wyjmuje z torby laptopa.

– Latałaś już prywatnymi odrzutowcami? – spytałam.

– O tak. Bardziej niczym innym nie podróżowałam. A teraz, panno D’Aplièse...

– Mów do mnie po imieniu.

– Elektro – poprawiła się. – Muszę zapytać, czy wolisz odpocząć podczas lotu, czy chcesz wykorzystać ten czas, żeby omówić ze mną kilka spraw?

Biorąc pod uwagę, że noc, do czwartej nad ranem, spędziłam w towarzystwie Zeda, wybrałam to pierwsze i kiedy tylko samolot wzbił się w powietrze, nacisnęłam guzik, który obniżył mój fotel do pozycji leżącej, założyłam opaskę na oczy i zasnęłam.

Po trzech godzinach obudziłam się wypoczęta – nauczyłam się już spać w samolotach – i zerknęłam zza opaski, co też robi moja nowa asystentka. Nie było jej w fotelu. Pomyślałam, że poszła do łazienki. Ściągnęłam opaskę i usiadłam. Zaskoczona, zobaczyłam pupę Mariam w wąskim przejściu między fotelami. Może ćwiczy jogę, przyszło mi do głowy, kiedy patrzyłam, jak klęczy z rękami i głową na podłodze, co przypominało trochę pozycję raczkującego malucha. A potem usłyszałam, jak mruczy coś do siebie. Uniosła nieco dłonie i głowę i zorientowałam się, że się modli. Poczułam się skrępowana, że podglądam ją w tak intymnej chwili. Odwróciłam wzrok i poszłam skorzystać z toalety. Kiedy wróciłam, Mariam siedziała znów w fotelu i coś wklepywała do laptopa.

– Dobrze ci się spało? – Uśmiechnęła się do mnie.

– Tak, a teraz jestem głodna.

– Poprosiłam, żeby mieli sushi. Susie mówiła, że w podróży najbardziej lubisz to jeść.

– Dzięki. To prawda.

Stewardesa już była obok mnie.

– Czym mogę służyć, panno D’Aplièse?

Złożyłam zamówienie – świeże owoce, sushi i pół butelki szampana – a potem obejrzałam się na Mariam.

– Chcesz coś?

– Już jadłam, dziękuję.

– Boisz się latać?

Popatrzyła na mnie, unosząc brwi.

– Nie, skąd. A czemu pytasz?

– Bo jak się obudziłam, widziałam, że się modlisz.

– Ach, tak... – Roześmiała się. – To nie dlatego, że się denerwuję. W Nowym Jorku jest środek dnia, a wtedy zawsze się modlę.

– No tak, nie wiedziałam.

– Proszę, nie martw się, nieczęsto będziesz tego świadkiem. Zwykle znajduję sobie jakieś ustronne miejsce, ale tutaj... – Wska-

zała na ciasną kabinę. – W toalecie bym się nie zmieściła.

– Musisz się modlić codziennie?

– O tak. Tak naprawdę pięć razy.

– O rany! To ci nie przeszkadza?

– Nigdy tak o tym nie myślałam, bo robię to od dziecka. I zawsze czuję się po tym lepiej. Po prostu taka jestem.

– Chodzi ci o to, że taka jest twoja religia?

– Nie. O to, kim ja jestem. O, jest sushi. Wygląda bardzo apetycznie.

– Może jednak i ty się poczęstujesz? Nie lubię pić sama – zażartowałam, kiedy stewardesa nalewała mi szampana do wąskiego kieliszka.

Mariam usiadła w fotelu naprzeciw mnie.

– Co mogę pani podać, proszę pani? – spytała ją stewardesa.

– Trochę wody, poproszę.

– Na zdrowie! – Uniosłam kieliszek. – Za udaną współpracę.

– Tak. Jestem pewna, że będzie dobrze.

– Przykro mi, że tak mało wiem o waszych zwyczajach.

– Nie ma sprawy – rzuciła Mariam. – Na twoim miejscu też nic bym o nich nie wiedziała.

– Pochodzisz z ortodoksyjnej rodziny?

– Niespecjalnie. A przynajmniej w porównaniu z innymi. Urodziłam się w Nowym Jorku, jak moje rodzeństwo, jesteśmy więc Amerykanami. Jak zawsze mówi ojciec, ten kraj dał moim rodzicom bezpieczne schronienie, kiedy było im to potrzebne, i musimy szanować tutejsze zwyczaje tak samo jak te przodków.

– A skąd pochodzą twoi rodzice? – spytałam.

– Z Iranu... albo Persji, jak wolimy mówić w domu. To o wiele piękniejsza nazwa, nie sądzisz?

– Rzeczywiście. Twoi rodzice musieli więc wyjechać z ojczyzny wbrew swojej woli?

– Tak. Oboje przyjechali do Stanów jako dzieci ze swoimi rodzicami, kiedy obalono szacha.

– Szacha?

– Był królem Iranu. Miał bardzo prozachodnie podejście. Ekstremistom w naszym kraju to się nie podobało, więc każdy, kto był z nim w jakikolwiek sposób spokrewniony, musiał uciekać, by uniknąć śmierci.

– Skoro był królem, to znaczy, że jesteś z rodziny królewskiej?

– No... – Mariam uśmiechnęła się. – Teoretycznie tak, ale w

Iranie jest trochę inaczej niż w Europie. Setki nas było z nim skolegacych... kuzyni, dalsi kuzyni i inni, poprzez związki małżeńskie. Pewnie na Zachodzie powiedziałyby się raczej, że pochodzę z rodziny arystokratycznej.

– O rany! Pracuje dla mnie księżniczka!

– Kto wie... gdyby wszystko potoczyło się inaczej... Mogłabym stać się księżną, jeśli poślubiłabym właściwego mężczyznę.

Nie chciałam mówić, że tylko żartowałam. Ale kiedy tak patrzyłam na Mariam, wszystko zaczęło mi się układać w logiczną całość. To jej opanowanie, pewność siebie, nienaganne maniery... Możliwe, że coś takiego może zapewnić tylko wychowanie zgodne z wieloma wiekami arystokratycznych tradycji.

– A ty, Elektro? Skąd pochodzi twoja rodzina?

– Nie mam pojęcia – odparłam, dopijając szampana. – Byłam adoptowana jako bardzo małe dziecko.

– I nigdy nie chciałaś zbadać, jakie są twoje korzenie?

– Nie. Po co patrzeć wstecz, skoro nic nie da się zmienić? Zawsze patrzyłam tylko naprzód.

– To lepiej, żebyś nie poznawała mojego ojca – powiedziała z wesołym błyskiem w oku. – Stale opowiada o tym, jak to było, kiedy żyli z moimi dziadkami w Iranie. I o naszych przodkach sprzed wieków. To bardzo piękne historie. Uwielbiałam ich słuchać jako dziecko.

– Ja miałam tylko baśnie braci Grimm. Zawsze były w nich straszne stare wiedźmy albo jakieś skrzaty. Okropnie się ich bałam.

– W naszych baśniach też takie są, ale nazywają się dżinami. Potrafią dać się ludziom mocno we znaki. – Mariam popijała wodę, popatrując na mnie znad brzegu szklanki. – Tata mówi, że nasza historia to dywan, na którym stoimy i który pozwala nam latać. Może pewnego dnia będziesz chciała poznać swoją historię. A teraz może chciałabyś posłuchać o planach na Paryż?

Godzinę później Mariam wróciła na swój fotel, by wklepać notatki, które robiła podczas naszej rozmowy. Ja położyłam się w fotelu i patrzyłam na ciemniejące na zewnątrz niebo, zapowiadające zbliżającą się nad Europą noc. Gdzieś pod tymi ciemnościami leżał mój dom rodzinny... albo przynajmniej to miejsce, do którego zebrał nas – dziewczynki tak bardzo różniące się między sobą, ze wszystkich stron świata – Pa Salt.

Nigdy nie przeszkadzało mi, że nie byliśmy naprawdę spokrewnieni, ale kiedy słuchałam, jak Mariam mówi o swoich korzeniach,

jak podtrzymuje wielowiekowe tradycje nawet tu, w prywatnym odrzutowcu zmierzającym do Paryża, zrobiłam się prawie zazdrosna.

Pomyślałam o liście od Pa Salta, leżącym gdzieś w moim nowojorskim mieszkaniu... Nawet nie wiedziałam gdzie. Nie otworzyłam go, najprawdopodobniej się zgubił, więc pewnie nigdy nie będę miała szansy dowiedzieć się czegoś o swoim pochodzeniu. Może „ten Hoff” – jak skrycie nazywałam prawnika Pa Salta – mógłby mi coś powiedzieć... Przypomniało mi się też, że na sferze armilarnej w ogrodzie w Atlantis były zapisane współrzędne. Ally twierdziła, że mogą wskazywać, skąd jesteśmy. Nagle odnalezienie listu Pa Salta wydało mi się czymś najważniejszym w świecie. Miałam niemal ochotę kazać pilotowi zawracać, żeby natychmiast przekopać szuflady. Ale wtedy, kiedy znalazłam się znów w Nowym Jorku po pożegnaniu Pa Salta w Atlantis – bo prawdziwego pogrzebu nie było, ponieważ ojciec najwyraźniej polecił oddać swoje ciało morzu – byłam taka zła, że nawet nie chciałam zajrzeć do listu.

Wydaje się, że jego śmierć cię złości. Dlaczego?

Te słowa terapeutki dźwięczały mi w uszach. Prawda była taka, że nie znałam odpowiedzi. Chyba byłam zła, odkąd umiałam chodzić i mówić, a pewnie i wcześniej. Wszystkie siostry uwielbiały opowiadać mi, jak wrzeszczałam jako niemowlę, a kiedy dorosłam, nie było wiele lepiej. Z pewnością nie mogłam składać tego na karb mojego wychowania, bo było wzorowe, choć dziwne, biorąc pod uwagę, że wszystkie byłyśmy adoptowane i moje zdjęcia rodzinne wyglądały upiornie, jak reklamy firmy Gap, przez to nasze różne pochodzenie etniczne. Jeśli kiedykolwiek poruszałam ten temat, Pa Salt zawsze wyjaśniał, że specjalnie nas tak wybrał, co najwyraźniej zadowalało moje siostry, ale nie mnie. Chciałam wiedzieć dlaczego. Teraz, kiedy nie żył, najprawdopodobniej nigdy już tego nie zrozumiałem.

– Za godzinę lądujemy – powiedziała stewardesa, dolewając mi do kieliszka. – Czy mogę podać pani coś jeszcze?

– Nie, dziękuję.

Zamknęłam oczy. Miałam nadzieję, że mój paryski kontakt dotrzymał słowa i dostarczył mi co trzeba do hotelu, bo rozpaczliwie potrzebowałam kreski. Kiedy byłam trzeźwa, głowa szła w ruch, zaczynałam myśleć o Pa Saltie, siostrach, moim życiu... A tego nie chciałam. Przynajmniej nie teraz.

Zainteresowani tym, co będzie dalej?

Pełna wersja książki do kupienia m.in. w księgarniach:

- KSIĘGARNIE ŚWIAT KSIĄŻKI
- EMPIK

Oraz w księgarniach internetowych:

- swiatksiazki.pl
- empik.com
- bonito.pl
- taniaksiazka.pl

Zamów z dostawą do domu lub do paczkomatu – wybierz taką opcję, jaka jest dla Ciebie najwygodniejsza!

Większość naszych książek dostępna jest również w formie **e-booków**.
Znajdziecie je na najpopularniejszych platformach sprzedaży:

- [Virtualo](#)
- [Publio](#)
- [Nexto](#)

Oraz w księgarniach internetowych.

Posłuchajcie również naszych **audiobooków**, zawsze czytanych przez najlepszych polskich lektorów.

Szukajcie ich na portalu [Audioteka](#) lub pozostałych, wyżej wymienionych platformach.

Zapraszamy do księgarni i na stronę wydawnictwoalbatros.com, gdzie prezentujemy wszystkie wydane tytuły i zapowiedzi.

Jeśli chcecie być na bieżąco z naszymi nowościami, śledźcie nas też na [Facebooku](#) i na [Instagramie](#).